

A photograph of two women lying on their backs on a grassy field. The woman at the top has long, dark brown hair and her eyes are closed. The woman at the bottom has long, blonde hair and her eyes are also closed. The text 'Elizabeth Flock' is written in green, and 'Emma ija' is written in white, both centered between the two women.

Elizabeth  
Flock

Emma  
ija

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

**Elizabeth Flock**

# **Emma i ja**

Tłumaczyła:  
Alina Patkowska

*Moim rodzicom – Barbarze i Regowi Brack*

Nic nie jest grzesznego, co jest poza nami.

Widzialne, niewidzialne, piękno i grzech tylko  
w nas mieszkają.

(O Matko - O Siostry drogie!

Jeśliśmy zgubieni, żaden zwycięzca nas nie  
pokonał.

O własnych siłach zstępujemy w wieczysty mrok.)

Walt Whitman, „Żdźbła trawy”, 1900

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdy Richard uderzył mnie pierwszy raz, zobaczyłam przed oczami gwiazdy, całkiem jak w kreskówkach. Ale to był tylko cios otwartą dłonią, nie taki, jaki widziałam, kiedy tato Tommy'ego Bucksmita rąbnął go tak mocno, że Tommy upadł na ziemię i głowa aż mu się odbiła od chodnika. Richard chyba nie umiał robić takich fikołków, jakie robiłam z tatą. Stawaliśmy twarzami do siebie, trzymałam tatę za ręce i wspinałam się po jego nogach aż nad kolana, a potem odpychałam się i obracałam do tyłu między naszymi ramionami. To była świetna zabawa i chciałam ją pokazać Richardowi. Wtedy właśnie przekonałam się, że lepiej omijać go z daleka, i teraz staram się jak najwięcej czasu spędzać poza domem.

W miasteczku, które nazywa się Toast, nie można się zgubić. Tutaj mieszkam: Toast w Karolinie Północnej. Nie wiem, jak jest gdzie indziej, ale tutaj wszystkie ulice ponazywane są od tego, co się na nich znajduje. Mamy ulicę Poczтовую i Frontową, na którą wychodzą fronty sklepów, a następna nazywa się Tylna i oczywiście są na niej

tyły sklepów. Jest ulica Nowokościelna, choć kościół, który stoi przy jej końcu, wcale nie jest już nowy. Mamy ulicę Do Farmy Browna, gdzie mieszka Hollis Brown ze swoją rodziną, a przed nim mieszkali tam inni Brownowie, których mama знаła, ale nie za bardzo lubiła. Jest też ulica Górna i Nadrzeczna, toteż tabliczki z nazwami ulic zaprowadzą cię wszędzie, dokądkolwiek się wybierasz. Ja mieszkam przy Drodze do Młyna Murraya, więc pewnie gdybyście nie wiedzieli, to pomyślelibyście, że nazywam się Murray, ale moje nazwisko brzmi Parker. Pan Murray zmarł na długo przed tym, zanim się tu wprowadziliśmy. Nic nie zmieniliśmy w jego domu. Droga dojazdowa, która prowadzi tu od drogi numer siedemdziesiąt cztery, to zwykła trawa rosnąca między dwiema prostymi koleinami - dzięki temu koła wiedzą, jak mają jechać.

Pierwszą rzeczą, jaką się widzi przy tej drodze, jest młyn stojący na starych słupach nad stawem. Do drzewa na brzegu nadal przybita jest tabliczka z namalowanym złuszczoną farbą napisem „Zakaz łowienia ryb w niedzielę”, a całą jedną ścianę młyna zajmuje stary szyld pana Murraya, na którym kogut pieje słowa: „Karma Nutrena... Pewność, bezpieczeństwo, oszczędność”. Trudno

już odczytać te słowa, bo cały plakat pokryty jest od góry do dołu drobnym czerwonym pyłem z drogi, która biegnie obok, ale koguta wciąż widać wyraźnie. Na drzwiach młyna wisi przybita pinezkami kartka: „UWAGA. Sprzedaż, dostarczanie, oferowanie do sprzedaży lub przechowywanie ziarna z domieszkami albo fałszywie oznakowanego jest nielegalne i będzie karane grzywną w wysokości 100 dolarów lub 60 dniami aresztu, lub jednym i drugim”.

Przepisałam to wszystko do szkolnego zeszytu.

- Oj!

Zeszyt zatacza łuk i upada na piach.

- No, tego to na pewno się nie spodziewałaś! - śmieje się Richard, gdy rzucam się w stronę zeszytu, żeby go podnieść, zanim on zdąży po niego sięgnąć. - Musi tam być coś ważnego, skoro tak mocno go ściskasz! Pokaż no - i wrywa mi zeszyt z rąk, nie zdążę nawet pisnąć.

- Oddaj!

- „Collie McGrath nie rozmawia ze mną przez tę historię z żabą...” - podnosi wzrok - co to za historia z żabą?

- Oddaj mi to!



Ale gdy próbuję odebrać mu notatnik, odpycha mnie i przerzuca kartki, przesuwając brudnymi paluchami po linijkach pisma.

- A gdzie tu jest coś o mnie? Już się nie mogę doczekać, żeby zobaczyć, co o mnie piszesz. Hm...  
- przerzuca kolejne kartki - mama to, mama tamto. Jezu święty, a nic tu nie ma o twoim ukochanym tatusiu?

Rzuca zeszyt na ziemię.

Czuję, że nie powinnam po niego sięgać, dopóki Richard sobie nie pójdzie, pochylam się jednak i już po chwili jestem wściekła, że nie posłuchałam tego wewnętrznego głosu, bo kopniak przewraca mnie na piach.

- Masz! Żebyś miała o czym pisać!

Mieszkam tu z ojczymem, to znaczy Richardem, mamą i siostrą Emmą. Emma i ja jesteśmy jak Śnieżyczka i Różyczka i chyba dlatego to jest nasza ulubiona bajka. Opowiada o dwóch siostrach: jedna ma bardzo jasną skórę i złote włosy, tak jak mama, a druga ma ciemniejszą skórę i włosy w kolorze takim, jak źrenica oka. To ja. Kolor moich włosów zmienia się zależnie od pory dnia i od miejsca, w którym stoi ktoś, kto na nie patrzy. Z boku, w dzień, wydają się fioletowoczarne, ale wieczorem i od tyłu przypominają resztki

spalonego drewna w kominku. Włosy Emmy, gdy są czyste, wyglądają jak kłaczki bawełny: zupełnie białe. Zwykle jednak są tak brudne, że przypominają stare zakurzone listy, które mama przechowuje na półce w szafie, w pudełku po butach.

Richard. Ten facet nie jest podobny do żadnej postaci z bajek czytanych na dobranoc. Wierzę mamie, gdy mówi, że różni się od tatusia jak noc od dnia. Bo przecież człowiek, do którego ludzie ustawiają się w kolejce, żeby kupić od niego wykładzinę, musi sprawiać sympatyczne wrażenie, prawda? Mama mówi, że tak właśnie było z tatusiem. Richard nie jest nawet w połowie tak sympatyczny. Kiedyś powiedziałam mamie, że dla mnie jest wstrętny, ale nie spodobało jej się to i odesłała mnie do mojego pokoju. Kilka dni później, gdy Richard znów się jej czepiał, wykrzyczała mu, że nikt go nie lubi i nawet jego własna pasierbica uważa, że jest wstrętny. Gdy to mówiła, stałam nieruchomo, słuchając tykania plastikowego zegara w kształcie stokrotki, który wisi w kuchni na ścianie, i wiedziałam, że już za późno, by uciec.

Mama mówiła, że nasz tatuś był najlepszym sprzedawcą wykładzin w całej Karolinie Północnej. Musiał ich sprzedać chyba z tonę, bo dla nas nie

został ani jeden kawałek; mamy w domu twarde linoleum. Po jego śmierci mama pozwoliła mi zatrzymać zieloną próbkę wykładziny, którą znalazła na tylnym siedzeniu samochodu taty, gdy go sprzątała, zanim zabrał go pan Dingle. Próbką musiała odpaść od wielkiego kartonu, na którym było wiele innych kwadracików w różnych kolorach, żeby ludzie mogli jak najlepiej dopasować wykładzinę do swojego życia. Schowałam tę próbkę w szufladzie białej wiklinowej szafki nocnej, która stoi przy moim łóżku, w starym pudełku po cygarach. Pudełko ze wszystkich stron pooklejane jest kolorowymi nalepkami przedstawiającymi staroświeckie walizki, znaczki pocztowe i samoloty (tylko że te samoloty podpisane są: aeroplany). Czasami, gdy mocno wcisnę nos w ten kwadracik, czuję jeszcze zapach nowych wykładzin. Tatuś zawsze niósł ten zapach ze sobą.

Wracając do mnie i do Emmy. Mamy włosy w innych kolorach, ale kolor skóry różni nas jeszcze bardziej. To jak różnica między kremem czekoladowym a waniliowym. Emma wygląda tak, jakby ktoś, kto ją malował, znudził się i zostawił pusty rysunek komuś innemu do pokolorowania. A ja? No cóż, panna Mary w sklepie White'a zawsze, gdy mnie widzi, przechyla głowę na bok i mówi:

- Wyglądasz na zmęczoną, dziecko. - Ale ja wcale nie jestem zmęczona, wszystko przez te cienie pod oczami.

Mam osiem lat - o dwa lata więcej niż Emma, ale jestem drobna, więc ludzie często myślą, że jesteśmy niepodobnymi do siebie bliźniaczkami. My też tak o sobie myślimy. Ale chciałabym być bardziej podobna do Emmy. Ja na widok cykady krzyczę ze strachu, a ona w ogóle się nie boi, tylko bierze ją do ręki i wynosi na zewnątrz. Mówię jej, że powinna to po prostu rozdeptać, ale ona mnie nie słucha. Inne dzieci nigdy jej nie zaczepiają. Tommy Bucksmith wykręcił jej kiedyś rękę za plecami i trzymał tak bardzo długo („aż powiesz, że jestem najlepszy na świecie” - śmiał się, podciągając jej rękę coraz wyżej i wyżej), a ona nawet nie pisnęła. Emma niczego się nie boi. Boi się tylko wtedy, gdy Richard zaczyna czepiać się mamy. Wtedy obydwie chowamy się za kanapą. To miejsce jest dla nas jak inny pokój. To jest nasz fort. Chowamy się tam zawsze po dziesiątym skrzypnięciu pedału metalowego kosza na śmieci w kuchni. Od głośnego brzęku butelek głowa zaczyna pękać mi na pół.

Po dziesiątym skrzypnięciu Richard zaczyna czepiać się mamy. Nie wiem, dlaczego ona nie

omija go z dala już po ósmym skrzypnięciu. Ja i Emma nauczyłyśmy się robić coś, co nazywamy tangiem podłogowym: po ósmym skrzypnięciu bardzo powoli zaczynamy się przesuwac na pupach z miejsca przed telewizorem do naszej kryjówki za kanapą. Telewizor gra głośno, więc nas nie słysząc, a Richard jest tak mocno skupiony na mamie, że nie zwraca uwagi na to, co robimy. Przy dziewiątym skrzypnięciu od kanapy dzielą nas już tylko dwie długości lalki Barbie, a tuż przed dziesiątym wślizgujemy się między chłodną farbę ściany a tył kanapy, pokryty miękką, zmechaoną tkaniną w brązową kratkę. Na początku przeszkadzało nam, że trochę tu śmierdzi, ale teraz już tego nie zauważamy. Kiedyś przyniosłam perfumy mamy i psiknęłam dwa razy na materiał, więc pachnie tak jak mama w niedzielę.

Nasz dom jest stary i biały, z łuszczącymi się żółtymi okiennicami; ma dwa piętra, jeśli doliczyć strych, gdzie ja i Emma śpimy. Kiedyś miałyśmy własny pokój po drugiej stronie korytarza, naprzeciwko pokoju mamy i taty, ale gdy tatuś zmarł i Richard zamieszkał z nami, musiałyśmy się przenieść piętro wyżej. Ale najgorsze jest to, że z powodu Richarda musimy się przeprowadzić. Na razie wolę o tym w ogóle nie myśleć. Gdy nie chcę

o czymś myśleć, to wyobrażam sobie, że w mojej głowie siedzi mały człowieczek, który tak mocno upycha myśli, że te złe przechodzą na sam koniec mózgu i chowają się za wszystkimi innymi rzeczami, o których mogę myśleć.

Mama mówi, że te wszystkie graty, które stoją przed naszym domem, wyglądają jak śmietnik, więc sadi w nich kwiatki, żeby wyglądało tak, jakbyśmy wystawili je tam specjalnie. Są tam trzy opony samochodowe - w środku jednej z nich zebrało się tyle piachu, że trawa sama tam wyrosła; posążek kota, szary jak płyty chodnika; stary samochód Richarda - on twierdzi, że pewnego dnia przywróci go do życia, ale myślę, że gdy ten dzień nadejdzie, samochód nie będzie wiedział, co zrobić, bo nie ma ani jednej opony. Jest jeszcze stara blaszana wanna mamy, gdzie rosną kwiatki; hamak, w którym ja i Emma huśtałyśmy się, gdy byłyśmy małe, ale teraz już jest bardzo wystrzępiony z jednej strony, bo nie zabierałyśmy go do domu na zimę; przegniła od deszczu i śmierdząca bela siana; metalowy kogut, który wskazuje, skąd nadciąga burza, i stare robocze buty Richarda, w których mama też posadziła kwiatki. Nigdy wcześniej nie widziałam kwiatków w butach, ale ona je posadziła i teraz z butów wychodzą

stokrotki. Aha, prawda, jest jeszcze sznurek do wieszania bielizny.

Szkoda, że nie mamy ścieżki prowadzącej do drzwi domu. Śnieżynka i Różyczka miały ścieżkę ocienioną girlandami róż, a przed naszym domem rośnie tylko wydeptana do gołej ziemi trawa. Ale zaraz dochodzi się do werandy i tę chwilę lubię najbardziej. Weranda bardzo skrzypi, gdy się po niej chodzi, ale ja lubię patrzeć na wszystko z wysoka.

- Co robisz? - pyta Emma.

Nie mam pojęcia, skąd się tu wzięła. W ogóle jej nie słyszałam.

Stoję na werandzie przy frontowej ścianie domu i patrzę na podwórze i na wszystko, co się tu znajduje. Czasami wyobrażam sobie, że jestem księżniczką, a te rupiecie to ludzie, moi poddani, którzy do mnie machają, gdy stoję na balkonie swojego zamku.

- Nic, a co mam robić?

- Do kogo machasz?

- Wcale nie macham.

- Machałaś. Znowu udajesz, że jesteś księżniczką? - Emma siada w starym fotelu na biegunach, który ma wielką dziurę w siedzeniu, i uśmiecha się, bo wie, że mnie przyłapała.

- Wcale nie.

- Udawałaś. Jakiego koloru masz suknię?

Słyszę w jej głosie, że już ze mnie nie kpi, tylko chce, żebym opowiedziała jej o swoich marzeniach na głos, żeby ona też mogła sobie pomarzyć. Jest już całkiem poważna.

- Różową, oczywiście - odpowiadam. - Ma mnóstwo ponaszywanych błyszczących koralików, tak że wygląda, jakby była zrobiona z różowych brylantów. I jeszcze mam wielki kołnierz z ręcznie tkanej koronki. Wcale nie drapie. Właściwie jest taki miękki, że aż łaskocze. A rękawy są z białego aksamitu, jeszcze miększe niż kołnierz. Ale najlepsze są buty. Szklane, jak pantofelki Kopciuszka, a na czubkach mają diamenciki, żeby pasowały do sukienki.

Emma ma zamknięte oczy, ale kiwa głową.

- A to są moi królewscy poddani - zataczam ramięm łuk, wskazując na podwórze. - Wszyscy mnie kochają, bo jestem dobrą księżniczką, nie taką podłą jak moja przyrodnia siostra. Daję im jedzenie i pieniądze i rozmawiam z nimi jak z własną rodziną. Moi poddani... - zwracam się teraz do rupieci na podwórzu.

A prawda, mamy jeszcze stare żelazne łóżko. Teraz jest zardzewiałe, ale kiedyś lśniło. Stoi na samym środku podwórza, udaję więc, że to woda



z rzeki, która opływa dokoła mój zamek, a schody na werandę to most zwodzony. Szkoda, że nie mogę podnieść mostu i w ten sposób zabronić Richardowi wstępu do zamku.

Oho. Hałaśliwa ciężarówka Richarda parkuje na swoim miejscu obok domu. Nie jestem pewna, ale wygląda na to, że on chyba nie jest w najgorszym nastroju. Mocno zaciskam kciuki na tę intencję.

- Co porabiasz w ten piękny dzień? - Zbliża się, ale idzie szybko i widzę, że nie interesuje go odpowiedź.

- Nic - odpowiadamy jednocześnie i obydwie cofamy się o krok dalej od niego, tak na wszelki wypadek.

- Nic - przedrzeźnia nas Richard, wysuwając podbródek, ale się nie zatrzymuje. - Libby, gdzie jesteś? - Zatraskuje za sobą drzwi werandy i woła mamę. - Dziś jest dzień wypłaty, trzeba to uczcić!

W chwilę później słyszę syk otwieranej butelki z gazowanym napojem i brzdęk metalowej zakrętki upadającej na blat szafki. Głos mamy mruczy coś niezrozumiałego.

- Hej, Bąbelku, masz ochotę na zimną oranżadę?  
- Tato potargał moje włosy tak, jak głaszcze się

psa. - Lib? Dziś dzień wypłaty! Bierz torbę, idziemy na zakupy.

Dopóki tato żył, dzień wypłaty był zawsze najlepszym dniem w miesiącu. Na słowo „oranzada” czułam takie podniecenie, że z trudem udawało mi się trafić sprzączką w dziurkę na pasku sandałów.

- Tatusiu, a kupisz mi dużą? - dopytywałam się, siadając z tyłu samochodu i przekrzykując szum wiatru, który wpadał do auta przez otwarte okna.

- Kupię ci największą, Bąbelku! - Tato uśmiechnął się, chwytając moje spojrzenie we wstecznym lusterku.

Naszym pierwszym przystankiem był sklep spożywczy. Mama wyciągała jeden z wózków wepchniętych jeden w drugi w rzędzie przy szklanych drzwiach. Od chłodnego powietrza w pierwszej chwili dostawałam gęsiej skórki, ale nim doszliśmy do drugiej alejki, już się przyzwyczajałam.

- Caroline, nie machaj nogami, bo kopiesz mnie w brzuch - upomniała mnie mama.

Staralam się więc nie machać nogami, ona zaś wrzucała nad moją głową jedzenie do wózka.

- Mamo, czy mogę zdejmować z półek?

- Możesz - zgodziła się, spoglądając na listę zakupów. Lista była długa, bo nie byliśmy w sklepie

już od dawna. Chyba nawet od dnia poprzedniej wypłaty tatusia.

- Płatki owsiane. Nie, nie te. Te z czerwoną nalepką. Dobrze - powiedziała i przesunęła wózek, zanim jeszcze zdążyłam wrzucić puszkę do środka.

- Mąka. Duża torba. Tak, właśnie ta.

Zza pleców mamy wyłonił się tatuś, zaskakując nas obydwie.

- Idę do stoiska z mięsem. Co mam kupić na kolację? - zapytał. - Może wątróbkę? - Mrugnął do mnie, bo dobrze wiedział, że nie cierpię wątróbki.

- Nie! - jęknęłam błagalnie, patrząc na mamę, ale ona nadal wpatrywała się w listę.

- Nie zapomnij kupić mielonej karkówki. Dwa kilo.

- Po co ci aż dwa kilo mięsa? - zdziwił się tato, patrząc na nią przez ramię.

- Zamrozę na później - wyjaśniła i zdjęła pudełko płatków z półki wysoko nad moją głową.

Po przejściu jeszcze siedmiu alejek wózek był pełny po brzegi i mama podjechała do kasy. Tatuś już tam czekał. Rozmawiał z panem Giffordem, kierownikiem sklepu, z którym czasem grywał w karty.

- Czas się rozliczyć - powiedział, klepiąc pana Gifforda po ramieniu.

- Byłbym wdzięczny. - Pan Gifford pokiwał głową. - Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ilu ludzi - no, nie będę wymieniał nazwisk - jest tak mocno pod kreską, że muszę im odmawiać. Ty, Henry, zawsze masz u mnie otwarty kredyt. Zresztą lepiej, żebym brał od ciebie pieniądze tutaj niż przy karcianym stoliku! - Roześmiał się i uściśnął rękę tatusia. - Masz udaną rodzinę, Culver.

Dotknął ręką runda nieistniejącego kapelusza na swojej głowie, kłaniając się mamie i mnie, i poszedł dalej, by porozmawiać z panią Fox, staruszką, która na każde wyjście z domu wkładała najlepsze niedzielne ubranie.

- Chodź, Bąbelku - powiedział tato i wyjął mnie z siedzenia w wózku. Mama już układała produkty na taśmie. - Będziemy pakować zakupy do toreb.

Wyłożyliśmy wszystko na naszą stronę taśmy, zakupy przeszły przez kasę, a tato przecisnął się za moimi plecami i podał kasjerowi odliczone banknoty. Za kasą siedział Delmer Posey.

- Ile byliśmy winni od poprzedniego razu? - zapytał go tato.

Delmer Posey chodził do tej samej szkoły co ja, gdy był chłopcem, ale rzucił szkołę po skończeniu siódmej klasy i nikt nie wiedział dlaczego, dopóki

pewnego dnia nie pojawił się w sklepie, pytając o pracę.

Mama mówiła, że Poseyowie przędą jeszcze cienie niż my, więc za każdym razem, gdy widziałam Delmera, wyobrażałam sobie, że trzyma w ręku wielkie wrzeciono.

Delmer wyciągnął zza kasy zeszyt i powiódł palcem po długiej liście nazwisk. Zeszyt miał brudne, pozaginane rogi od ciągłego przewracania kartek.

- Trzydzieści cztery dolary i pięćdziesiąt siedem centów - powiedział.

Tato gwizdnął przeciągle i dołożył jeszcze kilka banknotów do tego, co już zapłacił za zakupy.

- Masz jeszcze piątkę - powiedział, patrząc z uśmiechem na zmieszanego Delmera. - Zapisz to jako nadwyżkę, żeby moja żona mogła wziąć to, co będzie jej potrzebne. Bo na pewno o czymś dzisiaj zapomnieliśmy.

Gdy ktoś coś mówił do Delmera, on zawsze zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią, tak jakby był cudzoziemcem i czekał, aż ktoś mu przetłumaczy na angielski to, co zostało powiedziane. Po chwili jednak pokiwał głową i mogliśmy już odprowadzić wózek do miejsca przy szklanych

drzwiach, gdzie pod czerwonym napisem „wyjście” stały inne wózki.

Tato mrugnął do Delmera.

- Przypilnuj nam zakupów, a my skoczymy na chwilę do White'a.

Na chodniku, w drodze do sklepu White'a, mama i tato wzięli się za ręce. Nigdy im nie przeszkadzało, że biegłam przodem i pierwsza składałam zamówienie przy ladzie.

- Hej, panienko Caroline - przywitała mnie panna Mary, gdy dzwonek nad drzwiami dał jej znać, że ktoś wszedł do środka.

- Dzień dobry, panno Mary - odpowiedziałam. - Czy mogę dostać dużą oranżadę?

- Naturalnie, dlaczego nie? - odpowiedziała panna Mary.

Odłożyła na bok otwartą książkę, grzbietem do góry, i kołysząc się, podeszła do kontuaru. Panna Mary zawsze była gruba. Jeszcze grubsza niż gruba. Tato mówił, że jest jej więcej do kochania.

Dzwonek przy drzwiach oznaczał, że mama i tato weszli do sklepu.

- Jak się pani miewa, panno Mary? - zapytał tato, siadając na stołku obok mnie. Mama podeszła do półki z szamponami. - Jaką ma pani ładną sukienkę, prawda?

Nie brzmiało to jak pytanie.

- Dziękuję panu - odpowiedziała panna Mary nieśmiało i uśmiechnęła się do siebie tak szeroko, że fałdy policzków prawie zupełnie zasłoniły kąciki jej ust. - Pani Culver też tu jest?

- Och, proszę nie zwracać na nią uwagi - odrzekł tato. - Wyjedźmy gdzieś razem, ja i pani. Nie żartuję, naprawdę wyjedźmy!

- Tu jestem, Mary! - zawołała mama zza jedyne-  
go rzędu półek w całym sklepie. - Muszę kupić kilka rzeczy, których zabrakło nam w domu. Zaraz do was przyjdę.

Mama już przywykła do tego, że tatuś pytał pannę Mary, czy zgodzi się z nim wyjechać. Robił to za każdym razem, gdy przychodził do sklepu White'a. Wydaje mi się, że panna Mary uśmiechała się tak szeroko i rumieniła dlatego, że nikt wcześniej nie mówił jej takich rzeczy. Miała już chyba z milion lat i mieszkała sama, z dwoma kocurami i kogutem o imieniu Joe.

- Tatusiu, a ja? - zapytałam. - Chcesz gdzieś wyjechać beze mnie?

- Schowam cię do kieszeni i zabiorę ze sobą - odpowiedział, a potem jak zawsze pochylił się i pocałował mnie we włosy.

- Dla pana też oranżada? - zapytała panna Mary, uśmiechając się do taty.

- Jasne, że tak.

Panna Mary kroїła pomarańcze na pół, aż zebrała dziesięć połówek. Liczyłam je. A potem - i to było najlepsze - wkładała je po kolei do wielkiej metalowej prasy i przy każdej połowce naciskała całym swoim ciężarem na rączkę tak długo, aż do szklanego dzbanka spłynęła ostatnia kropla soku. Następnie dosypała do dzbanka trochę cukru, dolała wody sodowej, zakręciła pokrywkę i potrząsała mocno, aż płyn spenił się i wypełnił bąbelkami powietrza. Szklanki, wyjęte ze skrzyni z lodem, całe były pokryte warstewką chłodu. Napisałam palcem swoje imię na zaparowanym szkle. W sklepie White'a mieli zagięte rurki, więc nie musiałam podnosić szklanki z kontuaru. Oboje z tatą zawsze piliśmy tu oranżadę bez używania rąk.

Brzdęk. Kolejny metalowy kapsel od butelki z piwem upadł na blat kuchennej szafki.

- Co chcesz teraz robić? - pyta mnie Emma.

Stoi oparta o poręcz werandy i tak samo jak ja liczy brzdęki upadających kapsli. Obydwie zastanawiamy się, ile piw trzeba, by Richard zmienił się we Wroga Numer Jeden.



- Nie wiem.

- Może pójdziemy pod płot za domem i pobawimy się w równoważnię?

W równoważnię bawimy się wtedy, kiedy bardzo nam się nudzi. Właściwie to całkiem fajna zabawa. W płocie, który kiedyś, w czasach gdy jeszcze wszyscy dbaliśmy o takie rzeczy, oddzielał nasze podwórze od sąsiadów, brakuje górnych belek, więc Emma i ja chodzimy po niższych belkach i urządzamy sobie zawody, kto potrafi dłużej się utrzymać, zanim spadnie. Ta, która przegra, musi zrobić to, czego zażyczy sobie wygrywająca.

- Ja zaczynam, a ty liczysz - mówi Emma i już stoi na pierwszej belce.

Pierwsza jest najłatwiejsza do przejścia, bo ze starości popękała wzdłuż, więc jest szersza od pozostałych. Najgorsza jest następna belka, znacznie nowsza.

- Już - mówię i zaczynam głośno liczyć.

Emma idzie, nawet nie rozstawiając ramion, i nie wiadomo dlaczego tak mnie to złości, że liczę wolniej niż zwykle.

- Za wolno liczysz! - woła Emma i bardzo mocno skupia się na następnym kroku.

Ale ja nie przyśpieszam, a ona nic nie może na to poradzić, dopóki stoi na belce. A ja, zamiast mówić

szybko „Missisipi” między kolejnymi liczbami, tak jak robiła mama, gdy bawiła się z nami w chowanego, skandując to słowo litera po literze i zabiera to dwa razy więcej czasu.

Emma przechodzi na następną belkę i już widzę, że nie dotrzyma do dwunastu. Może tym razem uda mi się nawet z nią wygrać.

Aha, już. Zeskakuje z belki.

- Jedenaście! - wołam, mijając ją, i wskakuję na belkę numer jeden.

- Oszukujesz. Liczyłaś tak wolno, że przez ten czas włosy zdążyły mi urosnąć - mruczy i nie daje mi szansy, żebym mogła jej udowodnić, że jestem Królową Płotów, tylko od razu dodaje: - Chodźmy odwiedzić Forsyth.

Forsyth Phillips to nasza koleżanka; mieszka w domu najbliżej nas i jest najlepszym na świecie lekarstwem na nudę. Gdyby dom Phillipsów był kwiatem, to byłby słonecznikiem - ciepły i cały w uśmiechach, z mnóstwem czystych okien i z białymi obrusami na uroczyste okazje.

Jeszcze nie zdążyłam dojść po pierwszej belce do słupka, a Emma już popędziła w stronę domu Forsyth.

- Poczekaj! - wołam za nią, ale nie zwraca na mnie uwagi. Muszę się pośpieszyć, żeby ją dogonić.

- O, dzień dobry, panno Parker. - Pani Phillips zawsze zwraca się do dzieci w taki sam sposób, jak do dorosłych. - Forsyth jest na górze. Możesz do niej pójść.

Emma znów pierwsza dotarła do drzwi, więc sama muszę sobie otworzyć.

- Hej, Forsyth - mówię bez tchu, bo wbiegałam na górę po dwa schodki naraz.

- Cześć, Carrie - odpowiada.

Emma zajęła już miejsce naprzeciwko niej. Forsyth siedzi na łóżku, które ma nogi jak tron, i bawi się kartami do piotrusia. Cały pokój udekorowany jest jednakową tkaniną: stokrotki na błękitnym jak niebo tle zwisają z karnisza po obu stronach okna, rosną na poduszce pod oknem i na równo naciągniętej narzucie na łóżku. Nie wyobrażam sobie, jak można się czuć, zasypiając każdego wieczoru z głową na miękkich stokrotkach, ale myślę, że w domu Phillipsów nigdy nie śniłyby mi się koszmary.

- Macie ochotę na ciastka? - Pani Phillips wsuwa głowę do pokoju i uśmiecha się znad fartucha, który zakłada chyba tylko na pokaz, bo od kiedy tu

przychodzimy, ani razu nie widziałam na nim ani jednej plamki. – Jeśli chcecie, to zejdźcie na dół, właśnie wyjmuję je z piekarnika.

Mama nie piekła nam ciastek od... już nie pamiętam od kiedy. Pani Phillips piecze tak często, że Forsyth nawet nie podnosi głowy znad kart i wcale jej się nie śpieszy, żeby się do nich dorwać, dopóki są dobre i takie gorące, że okruchy czekolady roztapiają się na palcach i można je zlizać, gdy już zje się ciastko, więc to tak, jakby się miało dwa desery w jednym.

– Nie chcesz zejść na podwieczorek? – pytam. – Proszę, Forsyth, powiedz, że chcesz.

– Chyba zejdem – mówi, ale nadal nie rusza się z miejsca.

– W co grasz?

– W piotrusia, ty głupia. Ślepa jesteś czy co?

Chyba wstała dziś z tych stokrotek lewą nogą.

– Możemy zagrać z tobą?

– Wy?

– Ja i Emma.

– Mam już dość tych zabaw z Emmą – wzdycha.

Zawsze tak z nią jest... nie chce się bawić z moją młodszą siostrą, jakby Emma była trędowata. Emmie chyba to nie przeszkadza, ale ja uważam, że

bardzo niegrzecznie jest mówić takie rzeczy w jej obecności.

- Zgódź się - mówię błagalnie.

- Niech będzie - zgadza się Forsyth i posuwa się na łóżku, żeby zrobić miejsce dla mnie. - Ale zdejmij buty, bo mama spierze ci tyłek.

Pani Phillips chyba nigdy w życiu nie sprąła nikomu tyłka.

Dzisiaj jest bardzo gorąco i może dlatego Forsyth nudzi się tak samo jak my. Taki upał wysysa całą chęć do życia, a potem trzeba jeszcze oddychać i nie udusić się. Forsyth ma swój własny wiatrak na suficie, który wypycha gorące powietrze za okno i daje przyjemny powiew na skórze. Chyba we wszystkich pokojach w tym domu są takie wiatraki.

- Odrobiłaś już lekcje? - pytam z nadzieją, że straci zainteresowanie kartami i zauważy, że jest głodna.

- Mhm. Mama każe mi odrabiać, zaraz jak tylko wrócę ze szkoły - odpowiada. - A ty?

- Mhm - kłamię.

Zawsze odrabiam lekcje dopiero wtedy, kiedy się ściemni, i staram się mieć to z głowy jak najszybciej, tak jakbym jadła coś niedobrego. Emma jest jeszcze za mała i nie zadają jej żadnych lekcji.

- Chodźmy na ciastka twojej mamy - mówi Emma.

Patrzę na nią groźnie, bo to niegrzeczne. Mama na pewno sprząłaby jej tyłek, gdyby usłyszała, że prosi kogoś obcego o jedzenie.

Mama i pani Phillips rozmawiały ze sobą przez telefon, ale chyba za bardzo się nie lubią. Mama zawsze mówi, że odwiedziny u pani Phillips zupełnie nas psują. Chyba chodzi jej o to, co dostajemy do jedzenia - gdy w końcu docieramy do domu, nigdy nie mamy apetytu na kolację.

Forsyth jest moją najlepszą koleżanką oprócz Emmy.

Chodzimy do szkoły razem od czasów, gdy obie byłyśmy jeszcze całkiem malutkie. Siedzimy razem podczas przerwy na lunch, a potem, gdy nie gramy w dwa ognie, to bawimy się na drabinkach w sali gimnastycznej. Zwykle jest w lepszym nastroju.

- Co ci się stało? - pytam, próbując zignorować Emmę.

Forsyth wzrusza ramionami dokładnie tak samo jak Emma.

- Powiedz.

Potrząsa głową. Ma kręcone rude włosy i do tego piegi.

- Coś z twoją mamą?

Znów potrząsa głową.

- Z tatą?

Jeszcze raz nie.

- W takim razie na pewno coś ze szkołą - odzywa się Emma.

- To pewnie Sonny - domyślam się.

On jest postrachem szkoły. Gdy ktoś spadnie ze schodów, Sonny zaraz siedzi mu na plecach, zaśmiewając się na całe gardło. Cokolwiek zginie, zwykle znajduje się na podwórzu Sonny'ego. A jeśli gdzieś na tyłach boiska wybucha pożar, to przeważnie okazuje się, że Sonny trzyma w rękę zapalniczkę.

Po raz pierwszy odkąd weszliśmy do jej pokoju, Forsyth podnosi wzrok znad kart do piotrusia. Kiwa głową i strzecha jej włosów trzęsie się jak galaretka truskawkowa, którą mama robi na Boże Narodzenie.

- A co on ci zrobił?

Po piegowatych policzkach Forsyth płyną łzy.

- To wredna świnią! - krzyczy, a właściwie krztusi się, bo gardło ma całkiem zaciśnięte.

- Tak jakbym o tym nie wiedziała. Nie zapominaj, że to w końcu nasz kuzyn.

Zeszłego lata Sonny pozszywał nam prześcieradła w łóżku. Innym razem kazał mi dotknąć

językiem spodniej części pojemnika z lodem, a potem, rycząc ze śmiechu, ciągnął mnie dokoła domu. On naprawdę jest wredną świnią.

- Gdy Bóg dawał ludziom rozum, Sonny stanął w innej kolejce - mówi Emma. Obraca karty w rękach i próbuje je tasować.

- A co zrobił tym razem? - pytam Forsyth.

- Ściągnął mi majtki! - krzyczy - i wszyscy to widzieli!

Jest gorzej, niż myślałam.

- Jak to? - pytam, patrząc groźnie na Emmę, która z trudem hamuje łzy. Myślę, że Emma w głębi serca lubi Sonny'ego, chociaż sama nie potrafiłaby powiedzieć za co.

Forsyth kiwa głową, upewniając mnie, że dobrze usłyszałam.

- Wstałam z ławki, żeby zagrać. - Forsyth gra na flecie prostym. - A on siedział za mną i tak po prostu pociągnął moje majtki w dół, i wszyscy zaczęli się ze mnie śmiać! - Płacze coraz bardziej. - A w dodatku nie miałam na sobie tych lepszych majtek! - I to jest kolejna różnica między Forsyth a nami. W naszej rodzinie nie ma czegoś takiego jak „lepsze majtki”.

- Chcesz, żebym z nim porozmawiała? - pytam. Proszę, Forsyth, powiedz, że nie.



- Nie! - krzyczy. - Carrie, obiecaj mi! Daj mi słowo, że nie będziesz z nim o tym rozmawiać. Obiecaj! - Trzyma mnie za ramię tak mocno, jakbym była kłodą płynącą po rzece, w której ona tonie.

- Nie będę z nim rozmawiać - mówię najzupełniej szczerze.

- Słowo honoru?

- Słowo honoru.

Zaczynam myśleć i naraz coś przychodzi mi do głowy.

- Wiesz co? - pytam i przerywam, żeby się upewnić, czy obie uważnie mnie słuchają. - Sonny sam powinien poczuć, jak to smakuje.

- Co? - dziwi się Emma. Nawet ona chyba jest ciekawa, co chcę powiedzieć.

- Mówię serio. Musimy się jakoś zemścić na Sonnym za to wszystko, co nam zrobił. - Forsyth nie odwraca wzroku, więc mówię dalej: - Co możemy zrobić, żeby mu się odplacić? - zastanawiam się głośno. Emma i Forsyth też się zastanawiają. - Musi być jakiś sposób...

- Mogłybyśmy poszczuć na niego Richarda - mruczy Emma, ale Forsyth nie zwraca na nią uwagi.

- Mogłybyśmy jemu ściągnąć spodnie! - woła z podnieceniem.

Potrząsam głową. Czasem się zastanawiam, co one obie by beze mnie zrobiły.

- To musi być coś takiego, czego nikt jeszcze nie zrobił. Coś, czego on się nie spodziewa. Ale trzeba to dobrze obmyślić.

- Masz jakiś pomysł? - pyta Forsyth i pochyla się do przodu, wpatrując się w moje usta, jakby chciała wyciągnąć z nich słowa.

- Mogłybyśmy wziąć jego figurkę G.I. Joe, odkręcić jej głowę, włożyć do środka petardę od Jimmy'ego Hammersmitha i patrzeć, jak ją rozrywa na kawałki! - woła Emma.

Forsyth chyba podoba się ten pomysł, ale spogląda na mnie i gdy zauważa, że mam wątpliwości, robi taką minę, jakby od początku uważała, że jest głupi. Prawdę mówiąc, to ona taka jest - wiele rzeczy małpuje po innych.

- To musi być coś jeszcze lepszego - stwierdzam.  
- Ale pomysł nie jest zły. - Tak mówi nasz nauczyciel, kiedy nie chce, żebyśmy się czuli głupio.

- No to co zrobimy? - pytają obie jednocześnie.

- Ciastka już gotowe! - woła pani Phillips z dołu i czuję, że już dłużej nie wytrzymam. Wstaję

z miejsca, wiedząc, że one pójdą za mną, bo to ja jestem Mistrzynią Pomysłów.

- Dziękuję pani - mówię, bardzo uważając, żeby nie rzucać się na ciastka. Mama zawsze nas przed tym ostrzega.

- Często się, skarbie - uśmiecha się pani Phillips i łopatką zsuwa dwa kolejne ciastka na talerz stojący pośrodku kuchennego stołu.

Zupełnie jak w telewizyjnej reklamie. Kuchnia jest już posprzątana - mokre naczynia do odmierzania mąki i cukru i miski do mieszania ciasta stoją obok zlewu na specjalnej drucianej półce, która właśnie do tego służy.

Czekamy, aż pani Phillips wyjdzie, żeby obmyślić szczegółowy plan zemsty.

- Już wiem! - oświadczam z pełnymi ustami.

Forsyth aż podskakuje na krześle. Krzesło ma zamocowaną na stałe poduszkę, żeby nie było twardo na nim siedzieć.

- Co wiesz? Co wiesz? - dopytuje się niecierpliwie.

- A może byśmy... - mówię bardzo powoli, przeciągając słowa, bo przyjemnie jest czasem znaleźć się w centrum uwagi. - A może byśmy weszły do łazienki chłopaków przed Sonnym i wysmarowały

sedes czymś śliskim, tak żeby wpadł do środka, kiedy usiądzie!

Dwie pary szeroko otwartych oczu patrzą na mnie, mrugając ze zdziwienia.

- Mama ma w domu tłuszcz w kostce do smażenia.

- Ja będę obserwować Sonny'ego i dam sygnał, kiedy poprosi o klucz do łazienki!

- A ja mogę pilnować przy drzwiach, żebyśmy byli pewne, że to on wchodzi do środka, a nie ktoś inny!

- A ja powiem wszystkim, że zdarzy się coś bardzo zabawnego, wtedy wszyscy tam pójda i obejrzą go ociekającego wodą!

Wszystkie mówimy naraz i - raz, dwa! - mamy już gotowy plan.

Zjadamy tyle ciastek, że czuję, jak pęcznieją mi w żołądku, a potem wracamy na górę do pokoju Forsyth i omawiamy plan tak długo, aż mamy pewność, że nie zapomnieliśmy o niczym. Gdy chodzi o Sonny'ego, wszystko musi być dokładnie przemyślane.

- Drugą lekcję ma w sali trzysta jeden - mówi Forsyth. - Wiem, bo my wtedy mamy lekcje po drugiej stronie korytarza. Po drugiej lekcji będzie musiał wyjść do łazienki.

- Wcześniej jest przerwa na śniadanie, prawda? - zauważa Emma.

Wygląda na tak samo zachwyconą planem jak Forsyth, co jest dziwne, bo akurat jej Sonny nigdy się nie czepiał. Myślę, że trochę się jej boi, bo wie, że Emma nie boi się niczego.

- Aha - mówię. - Dobra, czyli tak: Emma będzie go śledzić i dopilnuje, żeby poszedł do łazienki obok sali gimnastycznej. Forsyth, ty będziesz musiała przyjść i mnie zawołać, gdy Emma da ci sygnał!

Forsyth ma niepewną minę.

- A, prawda - zauważam. - Musimy ustalić jakiś sygnał.

- Może zawołam: „Mój ulubiony kolor to niebieski”? - proponuje Forsyth.

- Nie możesz krzyczeć na cały korytarz - prycha Emma. - Od razu się domyśli, że coś knujemy.

Forsyth kiwa głową.

- Już wiem - mówię. - Gdy Emma zobaczy, że Sonny prosi pana Stanleya o klucz do łazienki, podrapie się w brodę. Wtedy ja pobiegnę przed nim z kostką tłuszczu w torebce foliowej pod bluzką, a ty, Forsyth, będziesz pilnować przy drzwiach do łazienki, żeby nikt tam za mną nie wszedł.

- Poczekaj! A jak wejdiesz do łazienki chłopców bez klucza? - pyta Emma i oczywiście ma rację.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

- No to - zaczynam, ale nie mam pojęcia, co powiedzieć dalej. Naraz jednak przychodzi mi do głowy rozwiązanie. - Już wiem! Pójdę do łazienki z samego rana, przed lekcjami, bo wtedy woźny tam sprząta i zostawia drzwi otwarte, żeby się wywietrzyło, i nacisnę ten guziczek przy klamce, żeby się nie zatrzasnęły przy zamykaniu, i w ten sposób będę mogła dostać się do środka później!

Uważam, że to cholernie dobry plan. Niezawodny. Po twarzach Emmy i Forsyth widzę, że podzielają moje zdanie. Obydwie uśmiechają się jak kot, który dorwał się do kanarka.

- No dobrze, a jak ściągniemy tam wszystkich, żeby zobaczyli Sonny'ego, który wpadł do sedesu?

Znów muszę się zastanowić. Kurczę, dlaczego nie mogłam wpaść na jakiś inny pomysł?

- Może będziemy liczyć do dziesięciu, żeby na pewno zdążył wpaść do środka, a potem powiemy wszystkim na korytarzu, że w łazience chłopców leży porzucona torba cukierków. - Emma jest tak podniecona, że krzyczy. - Wszyscy uwielbiają cukierki, szczególnie za darmo!

I to jest cała moja siostra. Ona w każdej sytuacji znajdzie jakieś rozwiązanie.

- No to wszystko już jest jasne - mówię. Forsyth opada na łóżko ze stokrotkami. - Nie zapomnij przynieść jutro do szkoły tego tłuszczu do smażenia - przypominam jej jeszcze.

- Nie zapomnę - mówi, uśmiechając się do sufitu.  
- Jutro o tej porze Sonny Parker będzie pośmiewiskiem całej szkoły.

Emma podnosi się i przeciąga, prostując ramiona nad głową. Tak długo siedziała oparta na rękach, że pewnie całkiem jej zdrętwiały.

- Chodźmy do domu. Lepiej, żebyśmy tam byli, zanim Richard dojdzie do piątego piwa.

- Śpisz już? - pyta Emma szeptem, chociaż bardzo dobrze wie, że nie śpię.

- Nie.

- Myślisz, że to się naprawdę uda?

- Nie może się nie udać - odpowiadam, chociaż myślę o tym przez cały czas i wcale nie jestem pewna.

- A jeśli on nie pójdzie do łazienki?

- Kiedyś w końcu musi pójść. Nawet jeśli nie pójdzie po drugiej lekcji, to poczekamy do czwartej.

- Tak myślisz?
- To niezawodny plan.
- Masz rację - ziewa. - Niezawodny.

Nie przypominam sobie, żebym spała, ale musiałam zasnąć, bo następną rzeczą, jaką pamiętam, jest dochodzące z dołu wołanie mamy:

- Pora wstawać!

Sądząc po głosie, mama jest w dobrym nastroju, ale żeby przekonać się na pewno, musimy zejść na dół i sprawdzić, co na nas czeka w kuchni. Gdy miseczki z płatkami stoją już na szafce, to znaczy, że wszystko jest w porządku. Ale czasami mama mówi: - Masz ręce, prawda? - A kiedy indziej w ogóle jej tam nie ma... śpi jeszcze. No i dzisiaj oczywiście jest dzień z płatkami na stole. No, no. Przynajmniej tym nie musimy się martwić.

Jedziemy do szkoły autobusem. Niewiele da się o tym powiedzieć, może tylko tyle, że Patty Lettigo patrzy na nas groźnym wzrokiem, gdy idziemy na tył autobusu, gdzie są podwójne siedzenia. Ale Patty Lettigo zawsze tak patrzy. Może to należy do jej obowiązków.

Żołądek mam zaciśnięty w supeł.

Emma siada i mocno przyciska książki do piersi, więc mogę się założyć, że denerwuje się tak samo jak ja.



- Pamiętaj - szepczę jej prosto do ucha, na wszelki wypadek osłaniając je jeszcze dłonią, żeby na pewno nikt nas nie usłyszał, chociaż silnik autobusu i tak dudni głośno - jak tylko zobaczysz Forsyth w szatni, weź od niej ten tłuszcz i daj mi go, gdy będę wracać z godziny wychowawczej.

- Dobrze, dobrze, nie musisz mi tyle razy przypominać - syczy.

- Tylko ci mówię.

- Wiem.

Ale zaraz, ledwie minęliśmy trzy farmy, na drugich światłach to ona pochyła się i szepcze mi do ucha:

- Gdzie mamy się potem spotkać?

- Jezu, przecież omawialiśmy wszystko chyba z milion razy! Na końcu korytarza, przy sali gimnastycznej. Ty masz dać mi sygnał.

- Tak. - Kiwa głową. - Już wiem.

- Na pewno?

- Jasne. Masz to jak w banku.

Uśmiecham się, przypominając sobie, że tato zawsze tak mówił. Znał mnóstwo zabawnych powiedzonek, którymi mnie rozśmieszał.

Autobus podjeżdża do krawężnika przed samą szkołą. Pisk hamulców i smród spalin. Emma trąca mnie w ramię. Patrzę tam, gdzie ona, i co widzę -

oczywiście Sonny przy stojaku na rowery wyciąga książki z bagażnika nad tylnym kołem.

- No, to jazda - mówię nie wiadomo do kogo i wchodzimy do szkoły akurat na pierwszy dzwonek.

- Na razie! - woła Emma, co mnie dziwi, bo nigdy nie zegnamy się w szkole, tylko po prostu każda idzie w swoją stronę. Ale to miłe. Mhm. Ona też się denerwuje.

Godzina wychowawcza wlecze się tak okropnie, że teraz ja czuję, jak mi włosy rosną. Pani Fullman sprawdza listę i każdy próbuje powiedzieć coś dowcipnego zamiast nudnego „jestem”, tak jak ja. Mary Sellers: - Najlepsza! (wszyscy się śmieją - ona codziennie zmienia odzywkę). Liam Naughton: - Je-den! (śmiechy), Darryl Becksdale: - Kto? - (trochę mniej śmiechów, ale i tak lepsze to niż „jestem”). Po każdej takiej odzywce pani Fullman spogląda na nas złym wzrokiem i mówi:

- Dajcie spokój. Wystarczy już. - A potem czeka, aż śmiechy ucichną i dopiero wtedy wyczytuje następne nazwisko.

Na dźwięk drugiego dzwonka moje serce zaczyna walić równie głośno. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że cały plan opiera się na mnie. Nie mogę

teraz stchórzyc. Po prostu nie mogę. Forsyth nie odezwałaby się do mnie już do końca życia.

Pierwsza przerwa wlecze się jeszcze bardziej niż godzina wychowawcza, ale na szczęście wszystko idzie według planu. Forsyth dała Emmie kostkę tłuszczu zawiniętą w folię, a Emma oddała ją mnie, tak jak ustaliłyśmy. Teraz siedzę na drugiej lekcji z kostką wsuniętą za pasek spodni. Specjalnie po to włożyłam dziś luźniejszą bluzę niż zwykle. Przeworność zawsze popłaca.

Bzzzzz. Druga lekcja minęła i wychodzimy z sali. Jestem tak skupiona na wsłuchiwaniu się w bicie własnego serca, że po drodze uderzam o dwie ławki. Moje serce trzepoce jak uwięziony w klatce ptak, który wali skrzydłami o pręty, usiłując wydostać się na wolność. Boże, spraw, żeby to wszystko się udało.

Forsyth stoi tam, gdzie powinna, w korytarzu przy sali gimnastycznej, przed drzwiami do łazienki chłopców, ale nad głowami innych dzieci w korytarzu nigdzie nie mogę dostrzec Emmy. Nie przyszło mi do głowy, że tak trudno będzie wypatrzeć ją w tłumie! Och, Boże. Och, Boże. Emmo, gdzie jesteś?

Nagle ją widzę – stoi między Betsy Rutledge a Collie McGrath, rozmawia z Perrym Gibsonem i...

o, właśnie... drapie się w brodę! To znaczy, że Sonny poprosił o klucz i zaraz wejdzie do łazienki. Obracam się i widzę, jak Forsyth potrząsa głową i szepcze coś do chłopaka, który próbuje otworzyć drzwi. Tak jak planowałyśmy, Forsyth ma powiedzieć wszystkim, którzy będą próbowali wejść do łazienki - oczywiście, oprócz Sonny'ego - że łazienka jest nieczynna. Wczoraj wieczorem u Phillipsów ćwiczyłyśmy to dziesiątki razy.

Nie ma czasu do stracenia. Przepycham się między ludźmi, których ze zdenerwowania prawie nie rozpoznaję, i sprawdzam pod koszulą, czy paczka z tłuszczem jest na swoim miejscu. Przed drzwiami męskiej toalety oglądam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy Sonny przypadkiem nie stoi tuż za mną. Ale wszystko jest w porządku, więc szybko wymijam Forsyth, która macha rękami i próbuje mi coś powiedzieć samym ruchem ust, ja jednak śmiało popycham drzwi i wchodzę, bo przecież musimy zrealizować plan.

O. Mój. Boże.

Słyszę za plecami trzask zamykających się drzwi. Przed oczami mam nie jednego, nie dwóch, nawet nie trzech, ale około dwudziestu - dwudziestu - chłopaków! Ze wszystkich klas. Stojących plecami do drzwi, twarzami do ściany, ze spodniami

opuszczonymi prawie do kostek. Chłopaków przeczesujących włosy, opartych o kafelki. Cała łazienka aż roi się od chłopaków!

- Patrzcie, patrzcie, Straszna Carrie! - Głuchy głos odbija się echem od wykafelkowanych ścian i miesza ze śmiechem wybuchającym dokoła jak fajerwerki na Czwartego Lipca.

Wszystko dzieje się tak szybko, że nie pamiętam, co powiedziałam ani jak stamtąd wyszłam. Wiem tylko tyle, że wypadając z impetem przez drzwi, nadziewam się na Sonny'ego, który z beztroskim uśmiechem, jak gdyby nigdy nic, wchodzi do środka.

Łazienka dziewczyn jest zaraz obok, ale chcę uciec jak najdalej, więc biegnę. Pędzę przez korytarz, wymijam Emmę, która dziwnie na mnie patrzy, pana Stanleya, milion roześmianych twarzy, których już nigdy więcej nie chcę oglądać, i przez podwójne metalowe drzwi wydostaję się na wolność. Mogą mnie zaarrestować, jeśli zechcą, ale nie wrócę już do tej szkoły. Słyszę za sobą trzaśnięcie drzwi. Emma staje obok mnie na drugim schodku przy starych chwiejnych trybunach otaczających boisko do baseballu.

- Co się stało? - pyta.

- Forsyth - szlocham - Forsyth... - Tylko tyle udaje mi się wykrztusić. Trzęsę się od szlochu. Zostałam pośmiewiskiem całej szkoły.

- Ale co Forsyth? Co się stało?

Naraz wszystko do mnie wraca... Och, Boże! Poruszające się usta Forsyth, ramiona machające w jedną i w drugą stronę jak wycieraczki samochodowe. Próbowwała mnie ostrzec! Próbowwała mnie ostrzec...

Żałuję, że nie mogę zapaść się pod ziemię.

- Wszystko będzie w porządku - mówi Emma. - Nie płacz. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Wszystko się jakoś ułoży. - Kolistymi ruchami masuje mi kark.

- Jak? - chlipię. - Jak może się ułożyć?

Emma milczy, więc wiem, że tylko próbowała mnie pocieszyć.

- Jeśli ktoś będzie się z ciebie śmiał, to go spiorę, i już - odzywa się po chwili.

- Nie możesz się bić z całą szkołą. Bo wszyscy będą się ze mnie śmiać. - Wycieram nos w rękaw.

- Coś wymyślimy - mówi - ale teraz lepiej już wracajmy. Jeśli obydwie nie przyjdziemy na lekcję, to pan Streng nie odpuści. Chodź.

Znów przechodzimy przez podwójne drzwi. Korytarze są puste - wszyscy chyba poszli na

trzecią lekcję. Gdy oczy przyzwyczajają się do półmroku, idę w stronę swojej szafki, a Emma wlecze się obok mnie. Nawet w akustycznym korytarzu potrafi się poruszać zupełnie bezgłośnie.

- Powiem ci, co masz zrobić po trzeciej lekcji - mówi. Staje przede mną i patrzy mi prosto w twarz. - Gdy ktoś coś powie albo zacznie się z ciebie śmiać, udawaj, że jesteś głucha i że kompletnie tego nie zauważasz. Udawaj, że nie słyszysz ani słowa.

Emma nie zdaje sobie sprawy, że właśnie tak usiłuję się zachowywać przez całe życie. Ale to nie działa.

- Caroline, przecież wczoraj umiałaś to zrobić bez zająknięcia. - Pan Stanley wykrzywia usta, jakby miał już szczerze dosyć mówienia do mnie. - Nie potrafię zrozumieć, jak można tak zupełnie zapomnieć mnożenia.

Czy powinnam coś mu odpowiedzieć?

- Caroline? Panienko, mówię do ciebie!

- Tak, proszę pana?

- Jeśli zapomniałaś odrobić pracę domową, to po prostu powiedz. Ale nie zachowuj się tak, jakbyś nie wiedziała, gdzie jesteś i co robisz. Chcę z tobą porozmawiać po lekcjach.

Kiedy właściwie nauczyliśmy się mnożenia? Przysięgam, że nie mam żadnego pojęcia, w jaki sposób znaczek „x” wstawiony między dwie cyfry ma zmienić ich wartość. Pan Stanley ciągle patrzy na mnie tak, jakby się spodziewał, że lada chwila ucieknę z klasy, i chyba mogłabym to zrobić, ale gdzie mam pójść? Do domu, do Richarda? Tego właśnie pan Stanley nie rozumie: ja nie mam nic przeciwko szkole. Mary Sellers, Tommy Bucksmith, Luanne Kibley i wszyscy inni mogą przy nauczycielach udawać, ile chcą, że kochają szkołę, ale ja słyszę, jak wygadują o niej najgorsze rzeczy w stołówce. Mnie się w szkole wszystko podoba, oczywiście oprócz innych dzieci. Podoba mi się to, że mogę zniknąć z domu na cały dzień. To jak codzienna wycieczka za miasto.

- Caroline!

Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby pan Stanley tak bardzo podniósł głos.

- Tak, proszę pana?

- Jest już pięć minut po dzwonku. Nigdzie nie idziesz?

- Tak, proszę pana. - Przysięgam, w ogóle nie słyszałam tego dzwonka. W klasie nie ma już nikogo.

Przy drzwiach słyszę jeszcze jego szorstki głos:



- Pamiętaj, przyjdź tu po lekcjach.

- Tak, proszę pana.

Emma będzie musiała na mnie poczekać.

Mama na pewno nawet nie zauważy, że wracamy do domu później niż zwykle. Jej takie rzeczy nie obchodzą. Szczerze mówiąc, to jestem pewna, że ona cieszy się, gdy może się nas pozbyć, bo przecież czeka nas przeprowadzka. Mama musi się zając pakowaniem swoich rzeczy i na pewno idzie jej o wiele lepiej, gdy wokół jest cisza i spokój.

Przez cały dzień siedzi nad listami, które składa na troje, układa w wysokie stopy, a gdy już na wszystkich kopertach znajdują się nalepki z adresami, wsuwa do nich listy. Nie wolno nam czytać tych listów; mama mówi, że pomięłybyśmy je i straciłaby pracę. Zresztą i tak nie interesuje mnie, co tam jest napisane, bo mama wygląda na tak znudzoną, że nie może być to nic ciekawego. Jest taka bystra, że nie musiała nawet iść na rozmowę, żeby dostać tę pracę. Odpowiedziała na ogłoszenie w gazecie, gdzie napisali, że można pracować w domu i zarabiać kupę pieniędzy, i przez telefon spodobała im się tak bardzo, że od razu dali jej tę pracę.

Emma i ja zastanawiamy się, dlaczego jeszcze nie widziałyśmy tej kupy pieniędzy, którą oni obiecali

mamie, ale to chyba dziecinne wyobrażać sobie, że pod dom podjedzie ciężarówka i wyniosą z niej całe worki pieniędzy, tak jak z tej, która przywozi chleb do sklepu spożywczego. Emma nadal czeka na ciężarówkę.

- Spóźniłaś się, Caroline. - Pani Hall wydaje się równie uszczęśliwiona moim widokiem jak wcześniej pan Stanley. - To już trzeci raz w tym tygodniu - upomina mnie i zaznacza coś przy moim nazwisku w notesie.

Nigdy nie spóźniam się celowo, ale mój umysł czasami gdzieś wędruje. Tak jak wtedy, kiedy zaczynam pisać innym charakterem pisma. Wiem, w którą stronę pisze się literę „k”, ale nagle patrzę - i widzę, że napisałam odwrotnie! I przeważnie kiedy piszę to odwrócone „k”, wszystkie litery napisane są w sposób, który mnie samą dziwi: wyglądają, jakby napisał je ktoś w wieku Emmy. Są nierówne, wielkie i czasem w niewłaściwej kolejności. Często udaje mi się skupiać na tym, co widzę przed sobą, ale dzisiaj chyba nic z tego. Mamie nawet nie przyjdzie do głowy zajrzeć do dzienniczka i przeczytać uwagę o tym, że się spóźniłam na lekcję. A gdyby nawet zajrzała, to i tak nic by jej to nie obeszło.

- Co ci jest? Nie umiesz zawiązać sobie sznurówek, dziecino?

To Mary Sellers wymyśliła moje przezwisko, Straszna Carrie. Wszyscy pokazują sobie palcami moje włosy, co trochę mnie dziwi, bo nie są nawet w połowie tak splątane jak włosy Emmy, ale i tak się na nie gapią. Buty denerwowały mnie od samego rana. Nie cierpię, kiedy jeden jest związany mocniej niż drugi. Są czarno-białe i wyglądają tak, jakby moja mama je nosiła, gdy była w moim wieku. Dlatego właśnie mi je kupiła. Zobaczyła je w zeszłym roku w sklepie i omal nie wybuchnęła płaczem na oczach pana Franksa, który zawsze każe nam używać przy przymierzaniu metalowej łyżki do butów i nie pozwala wciskać pięt do środka na siłę, tak jak to zwykle robimy. Czy on myśli, że używamy łyżki na co dzień? Te buty są białe i mają szeroki czarny pas, który idzie przez środek i schodzi na boki, jak siodło. Czuby są zaokrąglone i noga ma dużo miejsca, żeby rosnąć. To dobrze, bo mama mówi, że były bardzo drogie i teraz przez dłuższy czas nie będzie mogła mi kupić innych.

Nikt poza mną w szkole nie nosi takich butów. To kolejna broń, jakiej Mary Sellers używa w swojej wojnie ze Straszną Carrie. Nazywa je „dominowe

buty". Powtarzam sobie, że nic mnie to nie obchodzi. I naprawdę mnie to nie obchodzi. Naprawdę. Nic a nic.

Tytuł oryginału:  
*Me & Emma*

Pierwsze wydanie:  
*MIRA Books, 2005*

Opracowanie redakcyjne:  
*Małgorzata Pogoda*

Korekta:  
*Bronisława Dziedzic-Wesołowska*

© 2004 by Elizabeth Flock

© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o. Warszawa 2006

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1 B lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN 978-83-276-0125-4

Konwersja do formatu EPUB:  
Legimi Sp. z o.o.



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).